

Mało biłam dzieci. Jeżeli je biłam, to tylko na polecenie

Błażej Torzański

Zabębniłam w metalowe drzwi i przysła oddziałowa. „Pani oddziałowa, albo ona wychodzi z celi, albo ja”, powiedziałam. „Pol, pakujcie się!”, zdecydowała. Zbrodniarka spakowała swoje rzeczy w koc i wyszła. Przez kilka miesięcy nie wychodziła na spacer, bała się, że ją więźniarki pobiją – opowiada w książce „Mały Oświęcim” znana publicystka Elżbieta Królikowska-Avis, w latach 70. XX wieku więzień polityczny o swojej znajomości z niemiecką zbrodniarką osadzoną w tej samej celi.

Łódzki „obóz na Przemysłowej” to biała plama na mapie II wojny światowej. Był to niemiecki obóz koncentracyjny dla polskich dzieci – najmłodsze były niemowlętami, najstarsze miały szesnaście lat. Na Przemysłową kierowano chłopców i dziewczęta głównie ze Śląska, Wielkopolski, Pomorza, Mazowsza, z Łodzi i okolic, dzieci bezdomne zatrzymane na ulicach, drogach i dworcach. Osobną, liczną grupę stanowiła młodzież z ruchu oporu, dzieci członków organizacji podziemnych, w większości z Poznania i Mosiny. Obóz z rozmysłem ukryto na obszarze łódzkiego getta, by ucieczka stamtąd była niemożliwa. Funkcjonował od grudnia 1942 roku aż do wyzwolenia miasta w styczniu 1945.

Dwoje autorów – Jolanta Sowińska-Gogacz i Błażej Torzański – podjęło próbę uwiecznienia dziejów obozu „uznając to za konieczność, za wyjątkowo ważny obowiązek”. Z ich książki „Mały Oświęcim” , wydanej nakładem Prószyński Media, prezentujemy fragmenty rozdziału Błażeja Torzańskiego, który przeanalizował w Oddziale Instytutu Pamięi Narodowej w Łodzi kilka tysięcy stron w dwudziestu ośmiu tomach akta procesu wachmanki Genowefy Pohl vel Eugenii Pol.

W areszcie śledczym przy ulicy Kraszewskiego w Łodzi poznała ją w 1971 roku publicystka Elżbieta Królikowska-Avis, wtedy działaczka tajnej, antykomunistycznej organizacji Ruch, skazana na dwa lata więzienia. W jedenastoosobowej celi siedziały ze złodziejkami, włamywaczkami i luksusowymi prostytutkami z hotelu Grand. Z Eugenią Pol sąsiadowały na tej samej, piętrowej pryczy. Dwudziestosześcioletnia dziennikarka i więźniarka polityczna spała na górze, a czterdziestoosmioletnia volksdeutschka i wachmanka na dole.

– Słowem nie wspomniała o przeszłości. Powiedziała, że aresztowano ją w związku z nadużyciami finansowymi w żłobku, ale jak wszystkie inne kryminalne twierdziła, że jest niewinna – mówi Elżbieta Królikowska-Avis.

Wysoka, szczupła, o ogorzałej, apoplektycznej cerze i z fryzurą z lat czterdziestych. Stanowczy, męski charakter, żadnych subtelnosci – opisuje wachmankę. – Zdystansowana. O silnym instynkcie samozachowawczym, kontrolująca słowa, starająca się o dobre relacje z innymi więźniarkami. „Trzeba to wszystko przetrwać”, powtarzała. „Szczególnie że jestem niewinna”. Byłaby dobra w strukturach wojskowych. Codziennie myła się do pasa w zimnej wodzie i energicznie gimnastykowała.

Rozmawiały o sztuce, kinie, także przedwojennym, o muzyce. Kochała muzykę klasyczną. Kiedy z „kołchoźnika” dobiegała muzyka Mozarta czy Bacha, jej niebieskie oczy napelniały się łzami wzruszenia. Lubiła także operetkę, na dźwięk Lehára czy Offenbacha pytała: „Pani Elżuniu, zatańczymy?”, i porywała mnie do walca. Opowiadała o swojej umuzykalnionej rodzinie, o tym, że gra na mandolinie, a jej brat na akordeonie.

Zawsze wieczorem, przed snem, wyciągała w górę rękę i mówiła: „Pani Elżuniu, rączka na dobranoc”. I chętnie czesała po myciu moje długie wtedy włosy. W więzieniu przecież nie było

suszarek.

W tym areszcie Królikowska-Avis prenumerowała między innymi „Dziennik Łódzki”, gdzie przeczytała informację o procesie Eugenii Pol, volksdeutschki z obozu na Przemysłowej, której zarzuca się zakatowanie jedenaściorga polskich dzieci.

– Byłam w szoku. Pokazałam jej gazetę. „Pani Gieniu, co to jest?” Zaczęła płakać. Zatem wiedziałam, że to prawda. Zabębniłam w metalowe drzwi. Przyszła oddziałowa. „Pani oddziałowa, albo ona wychodzi z celi, albo ja”, powiedziałam. „Pol, pakujcie się!”, zdecydowała. Zbrodniarka spakowała swoje rzeczy w koc i wyszła. Przez kilka miesięcy nie wychodziła na spacerki, bała się, że ją więźniarki pobiją. Nie ukrywałam bowiem informacji z „Dziennika Łódzkiego”.

Genowefa Pohl vel Eugenia Pol: To nie ja

W 1941 roku miałam osiemnaście lat, kiedy nachodził nas w domu jeden urzędnik i namawiał, arogancko zmuszał, abyśmy przyjęli volkslistę. Ojciec powiedział, że jest to nasza ostatnia deska ratunku: albo podpiszemy, albo nas zniszczą. Wszyscy – mama Janina, brat Mieczysław i ja – podpisaliśmy (...).

Mieliśmy lepsze przydziały żywności, kartki na masło, mięso, odzież. Poszłam do urzędu zatrudnienia, bo musiałam podjąć pracę. Skierowano mnie do komendy niemieckiej policji kryminalnej.

Dostałam karteczkę i poszłam na ulicę Przemysłową, gdzie w domu poprawczym – tak, byłam do końca przekonana, że to był zakład poprawczy – miałam pilnować i nadzorować pracę polskich dziewczynek. Wiedziałam, że jestem nadzorczynią, zastępcą Sydonii Bayer, nie funkcjonariuszką policji.

Na bramie była tablica: „Polen-Jugendverwahrlager”². Dopiero teraz, blisko 30 lat po wojnie, dowiedziałam się, że to nie był zakład poprawczy, tylko obóz. Nie nosiłam munduru ani furażerki, bo dla mnie to była hańba. Nie miałam broni ani żadnego przeszkolenia, nawet z obrony przeciwlotniczej. Jak nadlatywały samoloty, to wchodziliśmy w kartofle, kładliśmy się w bruzdy.(...).

Dziewczynkom obcinano włosy, ale mnie też obcięto. Musiałam nosić turban. Przysięgam przed Bogiem, że nikomu nie robiłam krzywdy. Że mało biłam dzieci. Jeżeli je biłam, to tylko na polecenie i tak, aby nie zrobić im wielkiej krzywdy. Nie miałam sumienia. Codziennie nosiłam różgę, ale tylko po to, żeby Niemcy nie widzieli, że jestem za dobra. Uderzałam nią lekko, aby nie bolało. Albo biłam obok, w drewno, w taboret, w deskę, po własnym kolanie, a nie w ciało. Dziewczynki chciały, abym to ja wykonywała karę chłosty, bo mówiłam im, aby coś sobie podkładały, na przykład sweter, albo wręcz dawałam im poduszkę. Dziewczynki udawały, że je boli, krzyczały, aby wszyscy myśleli, że je biję (...)

Chłopców nie nadzorowałam, ich opiekunem był między innymi Edward August, nigdy żadnego nie pobiłam. (...)A już stanowczo, Wysoki Sądzie, zaprzeczam, abym jednego z nich uderzyła cegłą w głowę!

Byłam dla nich dobra. Organizowałam im wycieczki do lasu. Staralam się, żeby nie cierpiały od robactwa. Zostawałam po dyżurze, aby wysmarować ich łóżka dezynfekującym płynem.

Wyszukiwałam im w głowach wszy, aby nie dostały batów. (...) Nie widziałam, aby dzieci skakały w związanych workach. Ale owszem, skakały żabką, ze złożonymi kolanami, z rękoma podniesionymi do góry. Nie widziałam jednak, aby w rączkach trzymały cegły. Nie wiem, czy mdlały.

Czasami trafiały do karceru, pokoiku w murowanym domku, ciemnicy bez okna. Nie było tam podłogi ani wody. Na cementie stała tylko prycza ze słomą.

Dziewczynki pracowały: obierały ziemniaki, plotły koszyczki, tworzyły kompozycje kwiatowe, prostowały igły. Sama z nimi te igły prostowałam. W szwalni szyły ubrania, ładownice, chlebaki, dziergały dziurki przy paskach do masek gazowych. Nie uczyły się. Nic nie wiem o tym, aby wywożono je do domów publicznych. Bayerowa wybierała je natomiast na zniemczenie, do „domu rasy”. Wysyłano je do rodzin niemieckich. (...)

W marcu, po epidemii tyfusu, wyjechałam na kilka miesięcy do Dzierżąnej pod Zgierzem, żeńskiej filii łódzkiego obozu, piętnaście kilometrów od Łodzi. Bardzo się cieszyłam, bo dziewczynki nie były tam zamknięte, nikt ich nie pilnował, furka była otwarta. Szkołę ogradzała siatka z drutu. Wokół był las. Piękna okolica. Dziewczynki pielily warzywa, zbierały kamienie z pola, robiły paski do plecaków. Ale czemu to miało służyć? Nie wiem.

Ukarałam karą piętnastu batów Marię Delebis. Ale nie miała poprzecinanej skóry, tylko zaczerwienienia. Za co ją zbiłam? Za niewdzięczność! Dałam jej chleb i drobiazgi na imieniny, myślałam, że nikomu nie powie, a ona narozrabiała. Doniosła. Fuge krzyczał na mnie od szóstej rano. Jak śmiem rozdawać chleb więźniarkom?! Myślałam, że mnie rozszarpie. Że od tego krzyku rozpadnie się cała szkoła.

Skonfrontowano mnie z Delebis. Zaprzeczyła. Mówiła, że ukarałam ją za to, że dziewczętom przynosiła niedopałki papierosów. Nigdy nie widziałam, żeby dziewczynki paliły.

Inne nie były bite. Fuge robił nam wspólne zdjęcia. Zabrałam do Dzierżąnej gitarę, więc w niedziele, wolne od pracy, chodziłyśmy do lasu, śpiewałyśmy piosenki i tańczyły (...). Urozmaicałam im czas. Organizowałam zabawy.

Lubiłyśmy się bawić w podchody i króla. Jedna grupa miała swojego króla, druga mnie wybierała na króla. Zawsze się tak składało, że zwyciężałam. (...)

Ostatni dzień w obozie przy Przemysłowej? To było zimą, chyba w styczniu 1945 roku (...). Na ulicach Łodzi było cicho i pusto. Podjechaliśmy do łódzkiej policji kryminalnej. Oni tam weszli, ale ja już nie chciałam z nimi być. Uciekłam od nich. Poszłam prosto do swojego domu. Miałam na sobie szary żakiet i nieprzemakalny płaszcz. Mundur został w zakładzie poprawczym. Za bramą.

Już wiedziałam, że Łódź została wyzwolona przez wojska radzieckie. Zgłosiłam się do wojska, aby wziąć udział w walkach przeciwko Niemcom. Aby pomóc Polsce. Myślą i ciałem byłam Polką. Po wojnie oddałam swoje wszystkie siły dla Polski Ludowej.

Dzieci mówią: sadystyczna, okrutna, zła

Helena Leszyńska: Jak słyszę nazwisko Pohl, robi mi się słabo.

Wiesława Skibińska-Skutecka: Bicie sprawiało jej radość. Bijąc, śmiała się.

Jadwiga Pawlikowska: Była jedną z najbardziej sadystycznych nadzorczyń.

Gertruda Skrzypczak: Zła, okrutna. Biła, czym popadło. Nigdy nie widziałam jej bez pejcza. Traciłyśmy przytomność.

Maria Delebis: Raz w Dzierżąnej się topiłam, a Pohl odepchnęła mnie gałęzią od brzegu.

Krystyna P.: Baliśmy się jej. Na patkach munduru miała znak SS, dwie błyskawice. Na nogach oficerki, a w ręku pejcz. Czasami pejcz nosiła w bucie. Biła nim za najmniejsze przewinienia albo bez powodu. Raz podczas posiłku wybierałam koleżance wszy. Pohlowa zaczęła bić mnie pejczem. Zasłoniłam twarz, ale proszę spojrzeć, nad prawym okiem mam bliznę.

Byłam też świadkiem, jak Pohl z Bayerową wybierały dziewczynki do wojskowych domów publicznych. Szukały jasnych i ciemnych blondynek, z niebieskimi i czarnymi oczami. Pohl tłumaczyła im, że będą miały dobrze, jedzenia w bród i nie będą ciężko pracować. Ładowano je potem na ciężarówki i wywożono z obozu. Przyszedł dzień, że wybrano i mnie. Nie chciałam, więc zostałam pobita.

Alicja Kwaśniewska-Krzywda: Bałyśmy się Pohlowej, drżałyśmy wiecznie, żeby nas nie dosięgła. Pohlowa... Potwór! Na pejczu miała końcówkę – jak uderzyła, to skóra pękała.

Alicja Molencka-Gawryjolek: Biła, kopała butami, a nawet uderzała cegłą. Za jedno słowo polskie albo za wzięcie zgniętego kartofla. Odbiła mi nerki. Bałyśmy się panicznie nawet jej wzroku.

Maria Wiśniewska-Jaworska: Potrafiła dziecko zamknąć w szafie na noc, a ono mdlało, bo nie miało dostępu powietrza. Mówiła do nas: „I tak wszystkie zdechniecie”.

Teodor Tratowski: Dzieci myjące się w balii zalewała tak bardzo gorącą wodą, że wyskakiwały im pęcherze na skórze.

Kazimierz Stefański: Uderzyła mnie garnkiem w głowę. Do dzisiaj mam ślad.

...

Genowefa Pohl vel Eugenia Pol w ostatnim słowie swojego procesu:

Czuję się niewinna. Stoję przed Wysokim Sądem nie jako człowiek, ale jako męczennik. Nie jestem zbrodniarzem, nikogo nie zabiłam, mam czyste serce.

...

Drugiego kwietnia 1974 roku Sąd Wojewódzki w Łodzi skazał Genowefę Pohl vel Eugenię Pol w procesie poszlakowym na dwadzieścia pięć lat więzienia. Wielokrotnie zmieniano materiał dowodowy, świadkowie – zeznania. Przyznała się do eksterminacji dzieci polskich („jako członek niemieckiej załogi obozu”), ale nie do przypisywanych jej morderstw.

W 1989 roku złagodzono jej wyrok, odzyskała wolność. Zamieszkała w łódzkiej dzielnicy Dąbrowa. Zmarła w 2003 roku.

– *Błażej Torąński*

Publikacja za zgodą wydawcy, tytuł i śródtytuły od redakcji.